

# Dziesięć lat wolności

Paweł Milcarek

---

**D**ziesięć lat temu, 7 lipca 2007 roku, w kilka godzin po wydaniu przez Benedykta XVI motu proprio *Summorum Pontificum* mówiłem do mikrofonu jednej ze stacji telewizyjnych o znaczeniu tego aktu. Powiedziałem, że najprawdopodobniej jest to najważniejszy lub jeden z najważniejszych aktów tego pontyfikatu. Widziałem, jak twarz sympatycznego dziennikarza stojącego obok kamery mieniła się zdziwieniem. Przyszedł, żebym skomentował sensacyjną ciekawostkę – usłyszał, że być może robi materiał o najważniejszym wydarzeniu.

Myślę, że dzisiaj moja ówczesna ocena nadal będzie budziła rezerwę – zwłaszcza u tych, którzy po prostu nigdy nie dopuścili do siebie całego Ratzingerowsko-Benedyktowego nauczania o znaczeniu tradycji liturgicznej i o „teście trydenckim”, jakim dla teologii posoborowej jest spotkanie z liturgią wieków. Niemniej postawiona teza brzmi już na pewno zdecydowanie mniej kontrowersyjnie.

Czym jest to, co określamy krótko nazwą dokumentu: *Summorum Pontificum*? Na pewno nowym papieskim uregulowaniem dostępu do starej tradycji liturgicznej. Na pewno formą prawną, która traktuje tę starszą formę nie jako składzik z rupieciami (z którego można czasem coś sobie wypożyczyć jak na maskaradę), lecz jako całą formułę podparcia dla drogi duszy do Boga. Co więcej, ten, kto zatrzymał w pamięci motywację Papieża wyłożoną w liście skierowanym do wszystkich biskupów Kościoła katolickiego, wie, że Benedykt XVI włożył wiele trudu, aby jego działanie nie było jedynie otwarciem bocznej furty dla – jak to się śmiesznie mówi – „innej wrażliwości”; chodziło mu bowiem nie tylko o – powiedzmy teraz słowami św. Jana Pawła II z motu proprio *Ecclesia Dei* (1988) – spełnienie „uprawnionych pragnień” sto-

---

---

sunkowo nielicznych grup wiernych już przywiązanych do „starej liturgii” – lecz o otwarcie całemu Kościołowi łatwego dostępu do jego własnego dziedzictwa, przez dziesięciolecia niesprawiedliwie wykreślanego z pamięci i użytku.

Akcja rewindykacyjna Papieża Benedykta zderzyła się z czymś, co ówczesny sekretarz Kongregacji Kultu Bożego arcybiskup Ranjith nazwał „rewoltą biskupów” (nie żadnymi tam oficjalnymi zapytaniami, lecz po prostu milczącym oporem na przetrzymanie lub wyrazami niezadowolenia „na boku”). Decyzjom papieskim niektóre lokalne episkopaty przeciwstawiły swoje instrukcje, zawężające, jak tylko można, skutki rzymskiej „liberalizacji” – chociaż nie można było powiedzieć, że decyzja papieska jest kontrowersyjna w świetle doktryny Kościoła. Te lokalne instrukcje straciły kilka lat później, wraz z rzymską instrukcją *Universae Ecclesiae*, jakąkolwiek podstawę – lecz nie zmieniło to faktu realnego blokowania dostępu do dziedzictwa tradycji łacińskiej. Jeden z liturgistów powiedział mi niedługo po wydaniu *Summorum Pontificum*, otoczony swoimi współpracownikami: „Zobaczymy, co powie na to wszystko następca Benedykta...”.

Jednak wraz z upływem lat dokument i jego regulacje wykonywały swoją pracę w zmiennych warunkach. I wykonują. Powoli, z oporami, w okolicznościach przeszkadzających w uzyskiwaniu pokoju liturgicznego w eucharystycznym sercu Kościoła, czasami w oparach sztucznych pasji rekonstrukcyjnych lub pomponiarstwa u tradycjonalistów, czasami w aurze metodycznego zniechęcania kapłanów i wiernych do szukania tej drogi. Rzecz przestała być przedmiotem zasadniczych polemik, jak przez lata – a stała się kwestią praktycznych rozwiązań: czy jest ksiądz, który „potrafi odprawiać”? O której godzinie będzie Msza w planie niedzielny? I tak dalej. Chociaż właśnie w tej płaszczyźnie praktycznej nieraz „siedzi diabeł” i przeszkadza.

Oczywiście tylko Pan Bóg zna rzeczywistą skalę duchowych pożytków, także w kwestii szerszego dostępu do starej liturgii. Można domniemywać, że pewna część tych pożytków ginie w walkach, które trzeba toczyć – z powodu wyzwalanych wtedy złości, podejrzeń etc.; a może inna część przybywa dzięki tymże walkom, o ile wyrabiają się w nich cnoty wielkoduszności, pokory, wytrwałości, opatrności. Kiedyś powtarzałem chętnie zdanie

---

---

świętobliwego księdza Berto, prorokującego nazajutrz po Soborze, że teraz przez dwadzieścia, trzydzieści lat najlepsi będą się bili z najlepszymi. Wbrew wielu uproszczonym obrazom sytuacji sędzę bowiem, że w tamtym czasie rzeczywiście sporo owych „najlepszych” myślało, że głębokie zreformowanie liturgii przyniesie cuda i że w związku z tym warto zapłacić nawet wysoką cenę zerwania w dziedzictwie. Otóż oceniam, że dzisiaj jest już naprawdę ciężko utrzymywać to rojenie, pozostając równocześnie „najlepszym” w swych duszpasterskich intencjach. Dlatego jest dziś raczej tak, że wśród „najlepszych” nie ma obecnie zasadniczo sporu co do pozytywnej obecności „starszej formy”, w duchu *Summorum Pontificum* – chociaż jedni będą tu na biegunie „pełnego powrotu do tradycji”, a inni – na biegunie „pozytywnej inspiracji starszych form dla zreformowanej liturgii”.

Ktoś jednak pozostaje poza tym coraz wyraźniejszym konsensem. Przede wszystkim – ogromna rzesza ludzi, co prawda, sprawujących różne odpowiedzialności w Kościele, lecz zupełnie nierozumiejących roli odgrywanej w życiu duchowym przez formę liturgiczną, więc pojmujących całą sprawę wyłącznie na dostępnym sobie poziomie polityki czy estetyki. I jeszcze, odbijająca od tej obojętności w stronę wrogości, grupa nieprzejednanych zwolenników tezy, że radosny eksperyment przetwarzania się Kościoła po prostu wymaga zmielenia tradycjonalistycznych „nostalgii” aż do ostatniej chrząstki – więc dopóki daje się tu swobodę, wymarzona reforma nie może przyjść, niestety. Nie zawsze zresztą świadomość konieczności takiej eradykacji życia Kościoła jest tak samo bezwzględna: pamiętam, jak ze trzy lata po *Summorum Pontificum* pewien główny rozgrywający z komisji liturgicznej wyjaśniał mi, że brutalna, twarda eliminacja tradycyjnej liturgii była potrzebna „tylko przez jakiś czas” – gdyż inaczej „wprowadzenie nowej liturgii po Soborze nie miałyby szans”. Taka zgoda na wyniszczającą brutalność „w służbie reformy” gdzieś chwilowo śpi. A może przenosi swe aktywa na inne tereny sporów?

Tak jak już od dawna, również dzisiaj uważam, że najważniejsze owoce ruchu Benedykta XVI powstaną i powstają już coraz dalej od dawnych mateczników tradycjonalizmu. Owszem, rola owych mateczników – zarówno tych zupełnie legalnych, jak i tych (powiedzmy w ulubionej logice naszej epoki) coraz bar-

---

---

dziej legalnych – jest wciąż pierwszorzędna, dla podtrzymywania sztanbaru. Jednak prawdziwym pozytywnym przełomem są dziś inicjatywy i będąca dla nich oparciem poszerzająca się pamięć tradycji – wykwitające w zwykłej Polsce parafialnej, w tym czy innym domu zakonnym, na takiej czy innej sesji koła kleryckiego czy naukowego. Działania te bywają zapośredniczone inspiracją pochodzącą z tego czy innego „matecznika”, lecz często ich głównym motywem jest zwykła otwartość na Tradycję i ciekawość Prawdy.

Trzeba na koniec tego krótkiego podsumowania rocznicowego powiedzieć jeszcze coś takiego, co ustawia sam akt prawodawczy Papieża Benedykta w świetle mu właściwym, odpowiednim dla intencji kardynała Ratzingera: to, że możemy korzystać z tradycji rytu rzymskiego, nie wynika z pozytywnej *potestas* papieskiej – tej z 2007 roku czy jakiejś innej, dawniejszej. Wynika to raczej z ograniczenia tej *potestas*: nie może ona bowiem nigdy zakazać czy po prostu odwołać ortodoksyjnej tradycji liturgicznej Kościoła żadnym dokumentem, a tym bardziej żadnym przemówieniem czy wywiadem; choć może powołać do życia formy odmienne, nowe. Dlatego prawdziwymi uczestnikami „ruchu *Summorum Pontificum*” nie są ci, którzy uważają ją za element zmiennej „obecnej polityki Watykanu”, lecz ci, którzy znajdują tu potwierdzenie głębszego autorytetu Tradycji, której Papież jest strażnikiem. Jednak składamy dzięki Bogu za to, że dziesięć lat temu papieska *potestas* znalazła sposób, byśmy mogli czerpać z tego dziedzictwa według porządku, bez rozterek i niejasności. Tak jest lepiej. ■

---